

Wzbierające echo

Rzecz o powieści Dariusza Muszera „Wolność pachnie wanilią”

Gdy ktoś zatrzaskuje za sobą drzwi, powstaje echo. Zależnie od tego, jak głośno, jak mocno drzwi zostają zatrzaśnięte, echo rozplywa się wolnej albo szybciej. Ktoś znajduje się po drugiej stronie drzwi, drzwi są zamknięte, ktoś odwrócił się do nich plecami i oddala się. Kropka nad i została postawiona, oto koniec, ktoś pozostawił coś za sobą, za tymi drzwiami. Trzask zamykanych drzwi był ważny, aby sobie samemu i być może też innym wyraźnie dać do zrozumienia, że oto właśnie nastąpił koniec. Trzask drzwi ma wtedy sens, jeśli równoznaczny jest z punktem końcowym. Przeróżający, wyzwalający moment – nic więcej.

Książka Dariusza Muszera opisuje odwrócenie tego sensu – oddalanie się, którego echo staje się coraz głośniejsze. Wzbiera z wolna, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok po roku. Im dłużej ten, który oddala się, żyje za zatrzaśniętymi drzwiami, tym głośniejszym staje się w nim to, co pragnął pozostawić za sobą. Dopada go to, naskakuje przypadkowymi obrazami z telewizora, przypadkowymi znajomościami, wszędzie jest obecne, tutaj, w innym świecie, w którym uroił sobie, że jest bezpieczny. Bohater książki, ten Naletnik, nie może umknąć przed przeszłością, nie może jej zaprzeczyć, strząsnąć z siebie. Gdy już wierzy, że szczęśliwie ją zapomniał, nagle stoi ona przed nim, wpatrując się w niego niczym czyhająca bestia. W końcu zdradza żonę i własne dzieci, gdyż pochodzą ze wczoraj. Ale i to nie pomaga, wprost przeciwnie: jego przeklęta przeszłość jest z nim za pan brat. Naletnik staje się ponownie zdrajcą, czyli tym, czym zawsze był, i nie ma szans stać się lepszym człowiekiem, którym to pragnął stać się za zatrzaśniętymi drzwiami. Jest tym, kim zawsze był. Zabrał siebie samego do obcego świata, nie ucieknie przed sobą i w końcu ze swojego powodu szczególnie – z powodu

wzbierającego łoskotu własnej winy. Kołatanie, groźba milknie dopiero wtedy, gdy Naletnik rozprawił się z sobą samym i ze swoją opowieścią, gdy już poskromił ją w jedyny dla siebie możliwy sposób: ostatkiem sił zapisał, ukryty w jednym z hanowerskich schronów przed policją, która go poszukuje jako mordercy. Dopiero tutaj robi się wokół niego cicho. Manuskrypt. Śmierć w oczach.

Gdy ktoś zmienia światy, stawia siebie samego w innym świetle. Nie zna siebie takim, jakim zmuszony jest teraz siebie widzieć, musi poznać siebie całkiem na nowo. Ten, kto zmienia światy w środku swojego życia, traktuje siebie jak oczywistość, nawet wtedy, gdy świat, w którym dotychczas żył, był dla niego zawsze wątpliwy. To, że sam jest produktem tego wątpliwego świata, może dopiero wtedy rozpoznać, gdy go opuścił. Nie tylko może, ale też i powinien. Bohater Muszera musi doświadczyć siebie jako „istoty pozaziemskiej”. Im bardziej wnika w ten nowy świat, tym bardziej przekonuje się o swojej obcości. Wzbierające echo. Im dłużej pozostaje z dala od swojej dawnej ojczyzny, tym bardziej sam siebie przejmuje zgrozą.

Gdy trzydziestoletni Naletnik przybywa jako przesiedleńca z Polski do Zachodnich Niemiec, żelazna kurtyna wciąż jeszcze stoi, nadal egzystują dwa światy. Jest dzieckiem mocno skostniałej dyktatury, konflikt jego nawyków i przyzwyczajzeń z zachodnio-niemiecką normalnością późnych lat osiemdziesiątych został w tej książce przykładowo opisany. Jako zdrajca, węszy on wszędzie zdradę; jako poddany, nienawidzi nawet najbardziej przyjaznych urzędników czy zachowujących się poprawnie ludzi w uniformach. Nie chce przyjąć do wiadomości, że nie ma już tych przeklętych stosunków, które upoważniają go do tego, aby był złym człowiekiem, na które

mógłby zrzucić winę za swoje grzechy i za swoją nieudolność. Ma pecha, że boleśnie i wyraźnie rozpoznaje piętno, jakie pozostawiła na nim dyktatura, nie chce jednak zaakceptować, że odpowiedzialność za jego nieudaną wewnętrzną postać spoczywa teraz wyłącznie na jego barkach. Nie chce pogodzić się z tym, że teraz jest nagle wolny, rzeczywiście wolny, niedobrze wolny, ciężko, boleśnie wolny. I dopiero teraz może rozpoznać w sobie niewolnego. A tak długo nie zazna spokoju, póki nie odnajdzie siebie samego. Jego niszą staje się poczekalnia z telewizorem i zupami z puszki. W ekranie może się zatopić, zapodziać, zapomnieć o swojej sytuacji. Tak długo, aż pewnego dnia nadane zostają te obrazy, stare obrazy w pewnym filmie dokumentalnym, w których rozpoznaje się jako potomek morderców i rozstrzelanych.

Chodzi o scenę egzekucji z czasów drugiej wojny światowej. Jedna postać klęczy, ma gwiazdę na ramieniu, druga postać celuje z rewolweru, ubrana w mundur SS. Naletnikowi udaje się otrzywać od stacji telewizyjnej kopię filmu, przewija ją w przód i w tył, rozbiera sekwencję na pojedyncze obrazy, wtapia się w fotografię, wierzy, że rozpoznaje swojego dziadka. Prowadzi śledztwo na sobie, próbuje zrozumieć, w rozmazanych obrazach szuka odpowiedzi na pytanie: Dlaczego stałem się takim, dla mnie samego tak potwornym? Kto albo co zrobiło mnie takim, jakim jestem? W skrzynce ze starymi dowodami swojego niemieckiego pochodzenia znajduje fotografie męskich przodków. I temu opętanemu szaleńcowi udaje się w końcu rzeczywiście nadać sobie wiarygodnie niemiecko-żydowsko-łużyckie pochodzenie, które jest wystarczającym przeznaczeniem, nieszczęsnym losem, aby pokazać go jako człowieka od urodzenia naznaczonego piętnem. Powód do bycia złym, którego mu stosunki panujące na Zachodzie nie dostarczają, znajduje wreszcie we własnych genach. Jest uratowany, jest bezpieczny – w swojej starej ojczyźnie, w potępieniu.

Dariusz Muszer opowiada o plagach wolności, opowiada, ile komicznego,

rozpaczliwego wysiłku potrzeba, aby nie musieć wziąć jej na siebie, tej słodko-waniliowej, gorzkiej wolności. Jak nieznośna może być ona, gdy zostanie się w nią wrzucony jako już dorosły poddany. I jak historia, pochodzenie, los mogą stać się kozłami ofiarnymi, które moralnie usprawiedliwiają przemądrzałego złoczyńcę. Zaletą książki jest to, że o tym wszystkim się nie mówi. Droga przesiedleńca pochodzenia niemieckiego przez świat Zachodu przedstawiona jest w pierwszej osobie, co nadaje całej historii wiarygodności i czyni ją pełną napięcia. Oto ktoś zatacza się niczym w delirium po niemieckim mieście, gotowy do walki na podobieństwo dzikiego zwierza, zawsze gotowy bronić swego pięściami i wziąć to, czego potrzebuje, siłą. Jest to optyka, która rodzi się zazwyczaj na skutek socjalnego upadku i zdżyczenia. Chyba że taki właśnie autor jak ten opisuje komuś dobrze mu znane miasto od dołu, stamtąd, skąd wysoko cywilizowany poziom wydaje się nieosiągalny, pomimo że wciąż jest obecny. Dworzec to właśnie takie miejsce spotkań wyższego i podziemnego świata. Dariusz Muszer przedstawia go jako miejsce wiecznego przybywania. Nawet jeśli żyje się tam od lat z żebrania, można mieć uczucie, że nie jest się wyłączonym z wspaniałego, realnego świata. Bohater powieści nie zatrzymuje się na dłużej przy tych iluzjach przybywania, rusza w drogę, pragnie dać sobie radę w nowym życiu. Bierze na siebie to, że tuż obok siebie, w środku Europy, mogły na dziesięciolecia wyrosnąć dwa tak galaktycznie różne światy, oddalone od siebie zaledwie o kilka godzin jazdy pociągiem. Bierze na siebie to rozdarcie, pozwala, aby to rozdarcie, które przecinało Europę, rozdarło go. Nie jest tchórzem. Już prędzej masochistą, udręczonym dręczycielem, pozbawionym ojca człowiekiem nienawidzącym samego siebie i gardzącym sobą samym.

Wolność oznacza dla niego: bycie dościgniętym przez przeszłość, przez winę i nienawiść do siebie, tak dalece, jak to możliwe jest do pojęcia przez monstrum zdolne do winy. A że to, co przeszłe, i to, kim się stałeś, może być dopiero wraz z wolnością prawdziwie zrozumiane, czyni waniliowo-słodką wolność

gorzką. Naletnik nie potrafi wyłamać się z diabelskiego koła zła, które założono na niego, i, co gorsza, musi jeszcze dodatkowo zaglądać w twarz tej nieudolności – w swoją własną twarz.

W jego prywatnej historii odbija się echem wielkie ludobójstwo, usidlająca mężczyzn wojna, której pustoszący wpływ na męskie poczucie własnej godności jeszcze dziś jest odczuwalny. Dziadkiem Naletnika mógłby być ten esesman albo ten Żyd, który przed nim klęczy. Jego ojciec zaprzecza swojemu ojcostwu, żyje jako homoseksualista-dandys w pobliżu i umiera, zanim syn go odnajduje. „Odojcowienie”, współczesne hasło, nabiera w tej książce europejskiego wymiaru. Żywe trupy, powojenne duchy, niemiecko-słowiańsko-żydowski przodkowie powstają w Naletniku ze zmarłych, sprawcy-ofiary są sobie i jemu tyle winni, że nie mogą zaznać spokoju. Ich pojawianie się pod postacią czarnych „Uskrzydłych” działa bardziej pocieszająco niż strasząco. Naletnik nie jest osamotniony w nienawiści do samego siebie, ona przychodzi z bardzo daleka.

Wzbierające echo tej książki ma więc charakter ogólniejszy. Przez bramę, którą otworzono przed dziesięcioma laty w kierunku Zachodu, wpuszczono przeszłość. Zgroza, wina, zło fascynują coraz bardziej. Naletnik

walczy z narastającymi w nim mocami zła niczym nowoczesny Herkules. Zostaje pokonany. Pocieszające jest, że nie pojawi się pod postacią upióra, gdyż odpokutował za swoje grzechy, zbawił się, żyjąc, i może spokojnie umrzeć.

Brutalny język tej książki tańczy szaleństwo i ordynarność naszej historii. Pasuje do mocnego umierania tego jednego, który wziął sobie na barki całą nędzę wieku. Jest to gorzka i gniewna książka, która równocześnie wywołuje bezdźwięczny, suchy śmiech z powodu mężczyzny nie na miejscu, który tak bardzo chce być w pełni mężczyzną, że na obojnaczo rozmazany Zachodzie wywołuje najczęściej śmiech. Prawiekowy mężczyzna, jeszcze nie wydelikacowany, nie złamany w swoim byciu mężczyzną staje się tragikomiczną figurą, gdyż jego męska duma zabrania mu choćby raz, jeden jedyny raz zapłakać.

Mowa pochwalna wygłoszona 28.11.1999 roku z okazji przyznania Dariuszowi Muszerowi nagrody Związku Pisarzy Niemieckich za najlepszą książkę roku.

Tekst niniejszy drukowany był w „Liście Oceanicznym”, nr 76, Toronto, styczeń, 2000

Tłumaczenie z niemieckiego: Stefan Lummick